

W, RAORT.

WIDOKÓWKI

(KARTKI Z PODRÓŻY PO POLSCE).

Sam Puck, jest to arcsympatyczne, prześliczne miasteczko. Trochę już nawet jest zaśmiecone, ale stało to się — jak tułejś Nie ncy twierdzą — „seid Zeiten Polens”.

Puck już z samej fizjognomji jest tak miły, że miasteczko to polubić można od pierwszego wejrzenia.

Za trzy dni pobytu w Pucku, odczuwa się rodzaj obywatelskiej dumy ze „swego” miasta i bierze się udział w ogólnym zainteresowaniu jego sprawami i życiem; interesuje się np. sprawą, czy „wiatr nie skubni siejci na flojndry” — zna się osobiście aptekarza i listonosza — prowadzi się wyższą politykę w fryzjerni — duma rozpiera pierś, gdy widzi się jak jakiś wyższy urzędnik magistracki ciągnie za sobą beczkę z wodą z której pokrapia plac przed ratuszem — zwalcza się istniejącą radę miejską — słowem: czujesz się obywatelem przynależnym do tego milego miasteczka.

Włóczymy się też nieraz z moim przyjacielem po rynku podobnym do małego cacka, wybudowanego jakby z różnobarwnych kamyków richterowskich, z których dzieci budują domki i pałace; emablujemy miejscowe piękności o nogach podobnych do nóg fortepianowych i wracamy o oznaczonych porach na „lunch” do „Kurhausu” Marszałek & Bojarski, gdzie obdzierają nas żywcem ze skóry i karmią kotletami podobnymi w smaku do przewędzonych flader i iladrami podobnymi w smaku do przewędzonych kotletów.

Rano budzi nas ze snu skrzeczący głos pana Bojarskiego, który (jako że pochodzi z Małopolski) alarmuje telefonicznie całe polskie wybrzeże aż po Hel, dyktując innym właścicielom pensjonatów nowe ceny dzienne.

— Porcja flader od dziś 2 Złote 50, bo przyjechała wycieczka akuszerów z Warszawy!...

Albo:

— Od dziś nie dawać merui! Wszystko a la carte z 10-procentową podwyżką!

Po takiej rozmówce telefonicznej, kosztuje już wszystko o 20 procent drożej — i nie ma na to rady!

W Jastarni, Gdyni czy na Helu zakomunikuje ci tego dnia twój chlebo i pładrodawca: „Proszym pana, Puck telefonował co szybko podrożało”...

Możliwie najwcześniej opuszczamy też „Kurhaus” panów Marszałek & Bojarskiego, aby nie ulec pokusie zamordowania tych dwóch gentelmanów i idziemy nad morze, gdzie znowu spotykamy czeredę ludzką pluskającą się w wodzie z rykiem stada hipopotamów w czasie ruji.

Wieczorem jest „Kurhaus”, w którym się mieści sala taneczna i scena, stale ożywiony. Ludziska przeważnie tam tańczą. W przededniu naszego wyjazdu z Pucka tańczyli panowie i panie z „wycieczki wakacyjno-dokształcającej Związku froebliówek”. Obojętnie nam zresztą było kto tańczy. Zmieszawszy się z tłumem wycieczkowców i wycieczkowczyń, wzięliśmy z moim przyjacielem udział w tej zabawie, gdzie czuliśmy się zupełnie jak „u Lwowie”.

Jak się dowiedziałem, to wczoraj była w tej samej sali zabawa urządzona przez „młodzież archidjeczji śląskiej” — przedwczoraj tańczyły „Zawodowe kursy dokształcające województwa tarnopolskiego” — jutro tańczyć będzie „Kurs konserwatorów Pomorza” z Podhajec — za dwa dni zatańczy wycieczka młodzieży skautingowej z Kielc — temu trzy dni tańczył „Związek miłośników Kaszubów z akademickim wykształceniem” z Nowego Sącza — temu cztery dni „Młodzież uniwersytecka” z Racłaza na dochód wdów po „nieznanych żołnierzach” — temu pięć dni „Związek filatelistów i gimnastyków stołecznego miasta Warszawy” itd. itd.

Pomorze stało się terenem po którym w czasie ferji letnich roi się wprost od czeredy ludzkiej, włóczącej się niepotrzebnie od letniska do letniska, pod pozorem „dokształcania”, lub „zwiedzania ojczystego morza”, korzystając ze znacznych zniżek kolejowych lub też wolnych biletów.

Widzieliśmy całe gromady dzieci wleczonych w upalne dni, przez pedagogów, po to tylko, by usadowić się na dwie godziny nad zatoką pucką i odśpiewać „Rotę”, „Czerwony pas” lub „Jak to na wojence ładnie”...

Widzieliśmy całe seminarja duchowne kroczące parami po „plaży” — procesje dewotek prowadzonych przez członków „Bractwa od naglej a niespodziewanej śmierci” — pensjonaty żeńskie z Katowic, członków teatrów i chórów włościańskich z pod Dukli, uczestników kursu pożarnictwa z Sądowej Wiszni, słuchaczy wykładów o pszczelarstwie z pod Włodawy, Kolo numizmatyków z Krakowa, skautów ze Lwowa, footballistów z Wilna i Koloinyji, członków „Kółek samokształceniowych” z Inowrocławia, Kulikowa i Bydgoszczy, Związek niewiast samostojących z Poznania, klub szerlnierzy i gimnazjalistów z Bużacza, licea żeńskie, męskie i nielakie, gimnazja humanistyczne, realne i nierealne... Zatrzesienie!...

Bardzo tedy ładnie jest w Pucku!...

Tu i ówdzie podpije sobie taka wycieczka w „Kurhausie” lub jakiejś „probierni” i tknięta nagłym sentymentem za polskim morzem, idzie wałęsać się wzdłuż zatoki, włączając nierzadko w ubranie do morza, co nie zaszkodzi takiemu ubraniu, ale morzu często zaszkodzić może...

Wieczorem księżyc odprowadza owe masowe stada wycieczkowców na dworzec kolejowy, skąd syci wrażeń, rozjeżdżają się, by uszczęśliwić dalej położone miejscowości nadbrzeżne i „ten pocztowy naród kaszubski”...

IX.

Jesteśmy na Helu.

A nie, jak jeden z „rokujących świetne nadzieje na przyszłość” literatów warszawskich napisał: na Heli.

Z opisów, od których roją się polskie czasopisma periodyczne i nieperiodyczne p.t. „Wrażenia z podróży”, znane są już wszystkie właściwości topograficzno-graficzne Helu. Każdy wie, że Hel jest piaszczystą ławicą, pokrytą kartłowatymi sosnami, podszytymi jałowcem, niby zielonobrudną podszewką.

Pociąg zawiózł nas białym szlakiem toru między dwoma błękitami. Bo z jednej strony podpywa prawie tuż pod szyny „małe morze” — jak Kaszubi nazywają zatokę pucką — z drugiej, od czasu do czasu przegląda między chojarami sosen, przecudne lśnienie Bałtyku.

Ciepły zapach igliwa wraz z mdłym zapachem wody wpływa przez okna wagonu; gromady letników roją się przy stacyjkach kolejowych, a raczej prymitywnych budach, imitujących tylko wielkimi napisami stacje.

Na plaży, prawie ten sam obraz co w Pucku, tylko że krzyk kąpiących się w „autentycznym Bałtyku” jest bardziej intensywny i bardziej donośny.

W morzu, do którego się dochodzi idąc przez prawie całą długość miasteczka, kąpa się i wrzeszczą takie masy ciał ludzkich, że woda zdaje się upstrzona być kolorowem mrowiem jakichś niesamowicie rzucających się istot.

I my waliśmy do wody.

Dostaję lekkiego szturchańca w bok — ktoś przepływa mi między nogami — jakaś tłusta ręka spada mi na biodro — jakieś maleństwo czepia się mych nóg wołając z płaczem, iż chce do mamy — głowę zakrywa mi na chwilę jakiś przepożętny biust, proszący się do taty — jakiś brawurowy pływak podrywa mi nogi i ostentacyjnie daje nurka, aby po chwili wypłynąć pod pachwiną jakiejś wrzeszczącej pod niebiosy, dyrektorowej z Drohobycza.

Mamy dość kąpieli.

Uśmiechamy się blade z moim przyjacielem, jak ludzie po przebyciu ciężkiej operacji. Jest w nas jakaś łagodność i cisza, która nam daje świadomość, że przeżyliśmy już ostatni etap naszej wędrówki.

Z Helu wracamy do Lwowa.

Dość tej mordęgi, dość pluskiew, dość kotletów ze starej ceraty, plaży cuchnącej potem rozparzonych w słońcu cielsk, dość rodaków łupiących nas żywcem ze skóry! Wracamy!

Mijamy Jastarnię, Kuźnice i „port” w Gdyni, w którym nawet niepełnoletni wieloryb zdołałby jednym machnięciem ogona strzepnąć w morze całe urządzenie portowe — mijamy Sopoty, gdzie nasi rodacy ciągle się sp'ukują a pomimo tego mają brudne ręce — Oliwę i Gdańsk i znowu zatrzymujemy się na stacji granicznej w Tczewie, gdzie odbywają się w czasie rewizji celnej widowiska godne bogów.

— Die Weiber werden zu Hyänen — zauważył jakiś obywatel gdański — und die Männer zu Zahlkellner!...

Kwik i pisk przerażonych kobiet holowanych przez celników do rewizji celnej, przekleństwa dojrzałych mężczyzn patroszonych z wnętrza, walizek i kieszeni, płacz niewinnie maltretowanych dzieci, które szukają w tłumie swych rodziców, lamentsy ojców szukających swe guwernantki i bony, bojowe okrzyki mężczyzn walczących nadarmo z przeznaczeniem i celnikami, szloch dziewcząt przebiegających peron z rozwianym włosiem i niedomkniętymi zatraskami sukien, jęk, skowyt i ryk — oto odgłosy wydawane przez naszych bliźnich, w chwili rewizji celnej w Tczewie.

Ja z moim przyjacielem postanawiamy solidarnie wcale wagonu nie opuszczać.

— Czego ci ludzie tak się boją rewizji celnej? — zapytał melancholijnie mój przyjaciel, rozłożywszy na kolanach swój woreczek płócienny z zawartością przeszło 75 groszy.

Co do mnie osobiście, to postanowiłem nie chwalić się ze swoich 2 zł. 63 groszy przed celnikami, wychodząc z założenia, że jeżeli Chrystus Pan uważał celników za rzeźmieszków, tedy porządny obywatel nie powinien z nimi wchodzić w żadną konfidencję.

Do naszego przedziału wszedł wreszcie pan z czerwonym napisem na ramieniu i na nosie — Co pan wiezie? — spytał chytrze, mrużąc maleficzne oczka.

— Wiozę swego przyjaciela — odparłem z godnością.

— Biżuterji żadnej panowie nie macie?

— Resztę naszej magnackiej fortuny straciliśmy z pewną księżną na Helu.

— Czeków lub przekazów na banki panowie nie wieziecie?

Przeleciała mi przez głowę myśl, że ten człowiek uważa nas za defraudantów podróżujących incognito.

— Nie paniel Wieziemy po dwa jaja na twardo i po jednej fladrze na sucho.

— Więcej jak po 100 dolarów panowie przy sobie nie macie?

W jednej z powieści panny Mniskówny jest taki ustęp:

— Co mówisz ordynacie? Zdaje mi się, że zwarzjowałeś gwałtownie...

To właśnie powiedziałem wzrokiem owemu celnikowi, tak, że mnie zrozumiał.

Obrzucił nas i nasze waliski jeszcze raz spojrzeniem, od którego nam (to jest: nam, a nie waliskom) nieco słabo się zrobiło i opuścił nasz przedział, nie szukając dalej za ukrytymi skarabami.

Po godzinie opuszczamy Tczew. Wieczorem będziemy znowu w Warszawie a nazajutrz we Lwowie.

Wysiedliśmy wczesnym rankiem na dworcu we Lwowie. Za węglem narażnym halli dworcowej oczekiwała nas milcząca, cierpliwa i dziwnie uśmiechnięta Pani o zawiedlonych ustach i licu wybladłym; Pani, której na imię: Troska.

KONIEC.